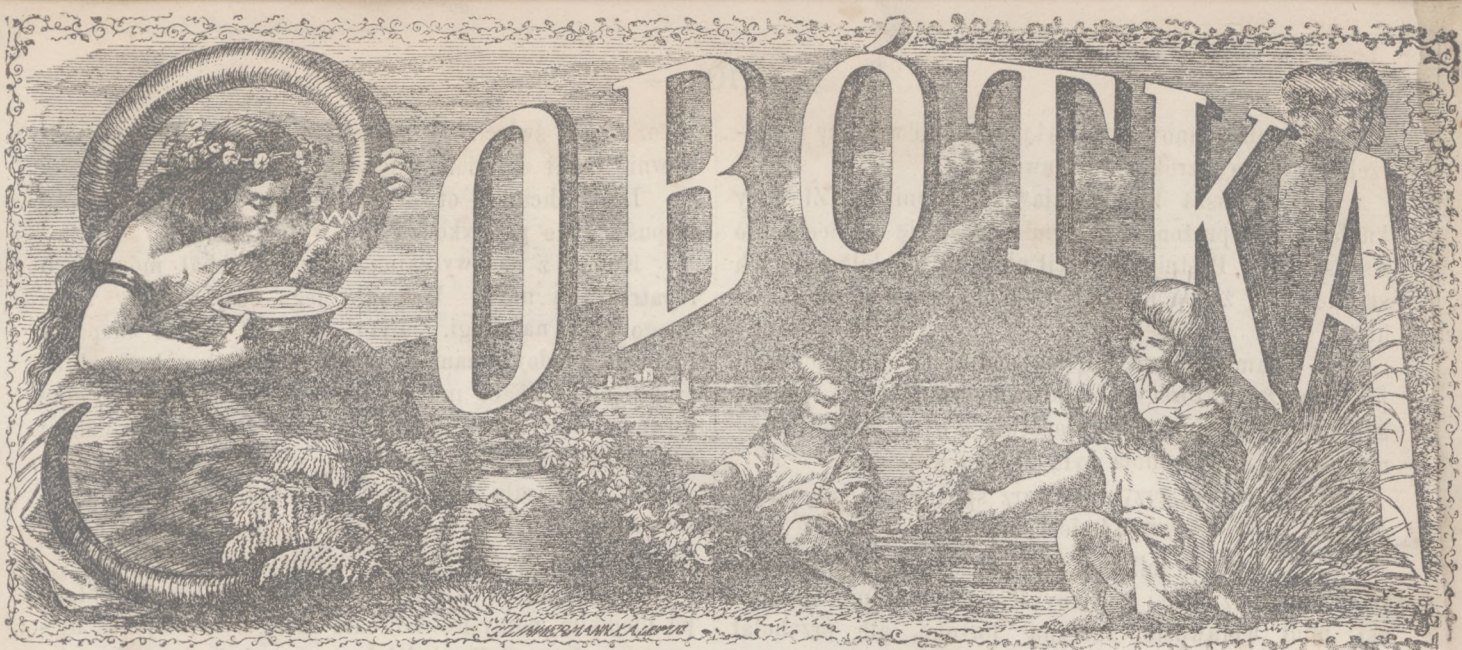




TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

N^o 2.

Poznań, dnia 8 Stycznia 1870.

Rok II.

Milion na poddaszu.

Obrazek z niedawnej przeszłości

przez
Jana Zacharjasiewicza.

(Dalszy ciąg)

III.

Kubaś przystąpił wreszcie do opowiadania, jakim sposobem dowiedział się o milionie na poddaszu.

— Przechodziłem właśnie, mówił głosem niepewnym, przez rynek starego miasta. Byłem tam incognito u Fukiera, gdzie zazwyczaj posilają się do procesów dobrym węgrynym prawnicy, a z których jednego właśnie szukałem... Otóż przechodząc przez rynek obaczyłem nagle podeszłą kobietę, która przy straganie z różnemi wiktuałami stała, jak by coś kupić chciała. Stara kobieta miała twarz dosyć szpetną i resztki pańskiego dawniej ubioru na sobie. Wyglądała na jakąś zubożałą szlachciankę, która jednak jeszcze zapomnieć nie może, czém była. To wybijało się na jej ponurą, do rozkazów dawniej przywykłą twarz. Targowała dosyć długo plaskankę séra. Przy niej stała przesliczna co mówię... dosyć zwyczajna dziewczyna, która mogła być jej wnuczką. Twarz jej była... dosyć pospolita, nawet tuzinkowa, oczy... już nie wiem jakie!

Widocznie zmęczył się Kubaś tak kunsztownemi zwrotami. Pot kroplisty wystąpił mu na czoło. Po chwili dalej ciągnął:

— Kiedy tak na nie patrzyłem, przysunął się do mnie jeden z powracających od Fukiera prawników i furknął mi w ucho: milion posagu!... Pojmiecie, że podobne słowa mogą odurzyć człowieka!

— Ale panna zapewne po tych słowach wyładniała do posagu Wenery! wtrącił z ironią Achil.

— I stała się mądrą i uczoną, jak Konfucyusz, wielki filozof chiński! dodał Hektor.

— Co do piękności, podjął Kubaś, to nie trzeba było czekać na te słowa, aby wiedzieć, że jest... że nie jest tak bardzo brzydką! Ale piękną, we właściwym znaczeniu tego słowa nigdy podobna twarz być nie może...

Podkomorzyc uderzył przy tych słowach w dłoń i zawołał z uśmiechem doświadczonego człowieka:

— Rzecz układa się wybornie! Milion posagu, panna szpetna, babunia na poddaszu! Nie łatwiejszego jak porwać milion przy brzydkiej pannie! Gdyby była piękna, to sprawa trudniejsza! A tak, koledzy...

Widocznie przestraszył się Kubaś tego niespodziewanego zwrotu. Pogniewał się sam na siebie, że tak nieznacznie opowiadanie pokierował, rozpaczliwym ruchem ręki odsłonił kryjącą się wstydliwie łysinę i odparł szybko:

— Panna wcale nie jest brzydką, a nawet pod pewnym względem może uchodzić za ładną!

— Mniejsza, czy ładna czy brzydką, rozumna czy głupia, ale milion, cóż ten milion? Zkąd tam milion? pytali wszyscy.

— Otóż teraz kolej na was, odpowiedział z wystraszonemi oczyma Kubaś, sprawdzić ten milion waszemi znajomościami bogatych rodzin naszych. Mnie się zdaje, że prawnik zadrwił ze mnie!

— Jakże się nazywa ta nieoceniona babunia z tym ładnym milionkiem i gdzie mieszka? zapytał podkomorzyc.

— Mieszka na poddaszu róg ulicy Rymarskiej i Leszna... nazywa się szambelanowa Mirska!

— Szambelanowa Mirska! powtórzyli wszyscy i spojrzeli po sobie wzrokiem badawczym.

Głucha cisza zapanowała w saloniku. Złośliwy kupidy z wyprężonym łukiem zdawał się uśmiechać do wszystkich... Psotnik wypuścił niewidocznie kilka złotych strzałek, ale żaden nie dał poznać, że te strzałki trafiły...

— Szambelanowa Mirska, podjął po dłuższej chwili podkomorzyce, którego oczy dziwnie zabłysły — Mirsey są nawet w jakimś pokrewieństwie z nami po kądzieli... nieboszczka babka moja była Mirska z domu...

Wnet jednak przybrał twarz spokojną i obojętną, dodając z ironicznym uśmiechem:

— Ale co do miliona, to palestrant prawdopodobnie zadrwił z ciebie kochany Kubasiu! Szambelan Mirski miał wprawdzie znaczną fortunę, ale przehubał wszystko. Należał do tężyzny i przetężył wszystko! Szambelanowa, kobieta dziwaczna, nie miała także znacniejszego majątku, co było powodem, że po śmierci męża cofnęła się zupełnie od dawnych swoich znajomych, zakopawszy się na jakimś folwarku w głębokiej Litwie!

Podczaszyc śledził z uwagą twarz mówiącego, jakby chciał się przekonać czy podkomorzyce mówi prawdę. Ironiczny uśmiech, którym czasem usta okrażał, okazywał, że podkomorzycę podejrywał. Wkrótce jednak i on przybrał twarz spokojną i obojętną. Prawie od niechcienia bawiąc się łańcuszkiem od zegarka, ozwał się:

— Wierzę w różne dziwactwa ludzkie, ale gdzie jest panna na wydaniu, która ma milion losagu, tam podobnego dziwactwa przypuszczać nie mogę. Milion jest to ładny brylant, którego się pod korzec nie chowa, ale oprawia się go w złoto, aby zważył drugi milion do siebie. To jest zasada najskąpszych matek, cieni i babuń!... A co się tyczy samą szambelanową, to wiem tyle, że tam była kiedyś fortuna, ale poszła jeszcze za życia nieboszczyka szambelana...

Hektor patrzył na jednego i drugiego i także zdawał się sprawdzać to wszystko, co widział, z tym, co słyszał. I po jego twarzy przebiegł chwilowo jakiś żywszy wyraz, ale i on ten wyraz wyrugował z swą twarzą i z widoczną usilnością przyoblekł ją w wyraz obojętności i niezachwianego spokoju.

A wszyscy trzej byli podobni w tej chwili do wprawnych graczy, którzy dobre karty dostali, a jednak starali się ukryć to przed sobą. Achil już z samego dziejowego antagonizmu podejrzliwie zmierzył Hektora, a Lesio w tym razie był o tyle szerszym od innych, że usta szeroko z ciekawości otworzył i ich bynajmniej nie zamykał.

— Mirsey coś tak i z nami są spokrewnieni, rzekł po dłuższej pauzie Hektor — ale my tam nigdy do tego się nie przyznawali. Już to jest nie mały kłopot w towarzystwie z Litwinkami. Mówią haniebnie, a są jakoś czy tak oryginalne, czy nieokrzesane, że czasem wstydzicie się trzeba takiego kuzynostwa!... Szambelanowa wdowa nie miała nigdy znacznego majątku, a jeśli dzisiaj na poddaszu mieszka, to jest tylko dla mnie powodem, aby o tym nie wiedzieć!

— Myślicie, że to milion można z rękawa wytrząsnąć! zauważył Achil — fortuny wielkie upadły dzisiaj,

a to, co się świeci, to szych i blichtr!... Prawnik zapewne napił za wiele węgryzna i dodał kilka zer...

Lesio chciał z otworzonej gęby także jakie słowo wypuścić, ale przeszkodził mu w tym Kubaś.

Kubaś z nadzwyczajną uwagą słuchał mówiących i patrzył na nich. Wypukłe jego oczy biegały z jednego nosa na drugi. Było w nich widać niepokój i pewne niedowierzanie. W końcu usiłował przybrać twarz obojętną, co mu się fatalnie nie udawało. Pełne i rumieńcem świecące policzki jego były jakoś dzisiaj tak tkliwe na każde poruszenie wewnętrzne, że stenografowały z całą skrupulatnością sprawozdawcy parlamentarnego najskrytsze myśli i przelotne marzenia z wszelkimi poprawkami i uzupełnieniami!

— To też ja palestrantowi nie wierzyłem, ozwał się po jakimś namyśle, bo cała rzecz była niejakoś nieprawdopodobna? Powiedziałem wam jednak o tym jako dobry przyjaciel i spodziewam się, że wy także będziecie mieli dla mnie tyle wdzięczności, że podzielicie się zemną tym, co się w tej sprawie dalej dowiecie. Już z samą ciekawości warto czasem o niej pomówić... bo innego znaczenia nie można do tak dziwnej wieści przywiązywać!

Wszyscy zamilkli, uważając całą rzecz za wyczerpaną. A gdy się niektórzy do wyjścia zabierali, zapytał podkomorzyce:

— Jakż macie program na jutro?... Może koło południa zebralibyśmy się znowu tutaj na pogadankę!

— Ja najprzód oświadczam, że nie przyjdę, rzekł podczaszyc, mam jutro interesa w trybunale i to w południe...

— Dla mnie jutrzejszy dzień, jest dniem feralnym jak każdy piątek, ozwał się Hektor, dla tego zostanę w domu!

— Jutro właśnie mam być w Mokotowie! tłómaczył się Achil...

— A ja mam jutro naradę z mecenasem! dodał Kubaś i spuścił oczy do ziemi.

Pozostały sam jeden Lesio nic nie powiedział, bo większość już i tak zerwała jutrzejsze posiedzenie.

IV.

Dziwnym, nieodgadnionym sposobem zeszli się nazajutrz wszyscy niedaleko teatru w południowej godzinie. Teatru nie było dzisiaj, znajomych także żaden z nich nie miał w tym zaułku miasta. Spojrzeli po sobie i przez chwilę namyślali się, co jeden drugiemu ma powiedzieć. Był to bowiem czas, w którym jeden miał być w trybunale, drugi w Mokotowie, trzeci na naradzie z mecenasem a czwarty miał w tym dniu, jako w dniu feralnym, siedzieć w domu za piecem!... Tymczasem wszyscy prócz Lesia znaleźli się jakoś tutaj koleją dziwnym przypadkiem...

— A gdzież tak szparko dążysz Hektorze, zapytał z ironicznym uśmiechem podkomorzyce, i to jeszcze tak wyświeżony, jakby to nie był wcale dla ciebie dzień feralny, ale dzień wielkiego szczęścia...

— Wyobraź sobie... wypadł mi nagły interes, odparł Hektor.. przyjechał mój stryj... a gdzież to ty spieszysz?

— W tym samym jestem wypadku, co ty kochany Hektorze, odparł z uśmiechem podkomorzyc, z tą tylko różnicą, że dla mnie dzień dzisiejszy nie jest feralnym i że nie stryj ale ciotka moja przyjechała do miasta!

Uśmiechnęli się, uściskali i poszli dalej osobnymi drogami, jeden na lewo drugi na prawo.

Za kilka minut spotkał Hektor podczaszyca, który biegł co tchu naprzód.

— A moi podczaszyco, zawołał Hektor, toś nie w trybunale? Wszak to godzina roków...

— Ach! Przekłęci palestranci! Szukałem mego patrona... odparł przytomnie podczaszyca... a gdzie ty biegiesz?

Hektor dał mu tę samą odpowiedź, co podkomorzcowi, podczas gdy tenże podobną odpowiedź dawał w bocznej ulicy Achilowi, z którym się tam spotkał.

Zdawało się, że po tych przypadkowych spotkaniach rozbili się przyjaciele na wszystkie strony miasta, i że już dzisiaj więcej z sobą się nie obaczą. Jeden poszedł na wschód, drugi na zachód, trzeci na północ, a czwarty na południe. Trudno było o bardziej różne kierunki dróg na bożym świecie.

Za dziesięć minut wtoczyła się zamknięta dorożka na ulicę Rymarską. Zwolniała coraz mniej biegu, wreszcie stanęła przy pierwszej kamienicy na Lesznie. Starringie ufryzowana głowa wychyliła się z dorożki i rekognoskowała kamienicę. Wreszcie po krótkiej rozmowie z dorożkarzem wymknął się z dorożki jakiś jegomość i szybkim krokiem wbiegł do sieni.

Był to Hektor. Lśniący kapelusz nasunął w sieni na oczy, a twarz zakrył długim płaszczem z krótkim kołnierzem.

Chodził niejakiś czas z widocznym niepokojem po sieni. W sieni nie było prawie nikogo. Wszedł ostrożnie na piętro.

Była to kamienica stara, ciemna. Schody szły nieregularnie, za każdym krokiem można było kark skrócić.

Po wielkich trudach dobił się Hektor do pierwszego piętra. Tu długi czas oglądał się na wszystkie strony, ale nie było ani żyjącej duszy. Wreszcie na galerii usłyszał jakieś kroki. Idąca po wodę służąca pojawiła się na progu.

— Czy tu mieszka pani szambelanowa Mirska? zapytał Hektor jak mógł najciszej.

— Pani szambelanowa? odparła zadziwiona służąca, a zkądby się tu szambelanowa wzięła?

— Ma mieszkać na poddaszu... jest z nią wnuczka, szambelanowa może mieć lat siedmdziesiąt.

Służąca rozśmiała się figlarnie, pokazała Hektorowi szereg białych zębów i rzekła:

— Jakaś pani z ładną dziewczyną mieszka na poddaszu... ale któż tam wie, czy to wnuczka, czy co! A państwa tam wielkiego nie ma! Stara pani sama z targu nosi wiktuały i mają tylko dochodzący służyć....

Hektor zamyślił się na chwilę. Ubóstwo szambelanowej stało mu jak złowrogie widmo przed oczyma. Wprawdzie słyszał coś o niej, że gdzieś tam w głębokiej Litwie mieszkała, słyszał, że nieboszyk szambelan przebulał fortunę... Łatwo więc być może, że szambelanowa zupełnie podupadła i teraz do miasta się przywlokła, aby u krewnych żebrac...

Myśl ta straszna radziła mu natychmiast wrócić. Było niebezpiecznie przyznawać się do pokrewieństwa ubogiej kobiety, która prawdopodobnie żebrac będzie po tych salonach, na których on błyszczał pozornym majątkiem...

Rozważywszy to wszystko, postanowił odstąpić od zamierzonej wizyty. Wypadki bowiem nagłego zubożenia bogatych dawniej rodów były podówczas w Polsce bardzo zwyczajne. Ostatnie katastrofy, lata bezmyślnego szaleń, przyprowadziły wielu do torby żebraczy. Były to zwykle skutki przeobrażania się stosunków społecznych i państwowych kraju.

Wszystko to nakazywało Hektorowi cofnąć się od zamierzonego kroku. Im gorsze były schody, po których tu się drapał w ciemnocie, tém niepodobniejszym stawał mu się milion na poddaszu! Po rozmowie ze służącą było to wprost bajką.

Hektor podziękował Bogu, że go zawczasu ostrzegł, podziękował ładnej kuchareczce o białych ząbkach i już pierwszy schód do ciemnej otchłani był przekroczył — gdy nagle usłyszał na dole podkomorzycę.

Podkomorzycę podniesionym głosem pytał się kogoś w sieni o mieszkanie szambelanowej...

Hektorowi zaparł się oddech w piersiach... Cóż tu robić? Czy spotkać się oko w oko z podkomorzcym? Cóż ma w takim razie powiedzieć? — Jakże znieść jego szydlerczy uśmiech? Czy przyznać się do kłamstwa?—

To były pytania, które w oka mgnieniu przebiegły przez zakłopotaną głowę Hektora. A nigdy pewnie nie opuściła go tak dalece wszelka odwaga... W tej chwili nie mógł w żaden sposób spojrzeć w oczy podkomorzycę.

Czasu do namysłu nie było... na schodach dały się już słyszeć kroki podkomorzycę...

Bądź co bądź Hektor nie chciał iść w oczy podkomorzycę... na pierwszym piętrze nie było się gdzie ukryć, służąca jeszcze nie zeszła z korytarza... Postanowił iść na drugie piętro i tam szukać jakiego schronienia...

Na drugim piętrze był właśnie jakiś młody człowieczek z miną czupurną, który dyscypliną chciał wytrępywać kubrak... Hektorowi nic innego nie pozostało, jak iść na poddasze, iść na chybitrafi i tam na pierwszych schodach czekać jakiejś lepszej myśli, co dalej robić!...

Jeżeli na schodach pierwszego i drugiego piętra był zmrok szary, tutaj była już noc zupełna... Zaraz za pierwszym krokiem rozgniół sobie Hektor kapelusz na głowie, za drugim krokiem uderzył nosem w jakiś bałak wystający...

Wyprawa po milion zaczęła przybierać rozmiary tragiczne, ale cofnąć się nie było podobna! Za sobą słyszał już kroki podkomorzycę... a na domiar tego wszystkiego usłyszał na dole głos trzeci, który wyraźnie brzmiał jak głos podczaszyca...

Hektor postanowił z rozpaczliwego swego położenia skorzystać. Ciemno było jak w rogu, mógłby się więc ukryć i spokojnie oczekiwać dalszego przebiegu rzeczy. Szczęściem natrafił na jakiś korytarzyk i tam przycupnął.

Zdaje się, że podobne fatum prześladowało także i podkomorzycę. Być może, że i on chciał się cofnąć z

tój awanturniczej wyprawy po milion, ale i jemu zagroził drogę los zawistny... Usłyszał za sobą podczaszycę!

Przez sympatyczne pokrewieństwo myśli przechodził te same fazy różnych planów co i Hektor, i obaj zeszli się razem w korytarzyku pod płatwią, omotani jak najmisterniej wiekową pajęczyną!... Hektor chciał mu się z drogi usunąć, aby o niego niezawadził i mocniej przyparł się do dachu, gdy nagle nadusił jakiś przedmiot miękki i ciepły... Usunął się czémprędzej i w śmiertelnej trwodze zaparł oddech w piersi... Podkomorzyc przesunął się koło niego...

Za kilka minut powiększyło się towarzystwo o podczaszycę. Jaki wypadek tam go zapędził, czy kroki Achila czy Lesia za sobą usłyszał, tego ani Hektor ani podkomorzyc odgadnąć nie mogli...

Teraz dopiero nadciągała straszna scena. W pokoiu za drzwiami słychać było rozmowę:

— Wielmożna pani, ozwał się głos kobiety, coś się ropicze na korytarzu, pewnie złodzieje!

— Złodzieje! odpowiedział głos surowy, a cóż chcą złodzieje od biednych ludzi? Zaświeć panno i popatrz!

Była to straszna chwila dla ukrytych... Za dwie minuty otworzyły się drzwi, ukazała się ręka stariej ko-



Kaplica w Orsowie.

biety z kagańcem... potem wydobył się nos... za nosem świecące jak marmur żółte czoło i para straconych oczu...

— Jezus, Marya, Józef! ozwał się krzyk z pod drzwi, czterech złodziei! Gwałtu złodzieje!...

Tu kaganiec z palącym się knotem upadł na ziemię... drzwi się zatrzaśły... i ciemność ogarnęła wszystkich!

Hektor poczuł, że ciepły przedmiot tuż koło niego

odsapnął, ruszył się z miejsca i wypadł na schody. Za nim pospieszył podczaszyc, za podczaszycem podkomorzyc, a w końcu wysunął się i Hektor.

W przeciwległej kamienicy w sieni stał Lesio i patrzył jak jeden po drugim wypadali z sieni, nowalani kurzem i omotani pajęczyną. Pierwszy wytoczył się z sieni.. Kubaś, za nim inni. Achil chodził po ulicy i tylko rekognoskował.

Lesiowi dziwne myśli przychodziły teraz do głowy.

Antenaci tych wszystkich brali także milionowe fortuny, ale tych fortun dobijali się z bronią w rękę w służbie Rzeczypospolitej, a wnukowie ich umiały tylko robić

wyprawy po milion posagu, chociażby gdzieś na poddaszu... Czy czasy się zmieniły, czy ludzie tak znikczemnieli?...

Kaplica w Orsowie.

(Z ryciną.)

Dawno to opiewa znana piosenka

„Węgier Polak dwa bratanki
I do korda i do szklanki.“

starą przyjaźń i zażyłość pomiędzy Węgrami i Polakami. Oba te narody łączyły się niegdyś w wspólnych celach i na tych samych równinach rozlewały krew swoją w szlachetnej obronie chrześcijaństwa jak i nie mniej

w obronie granic Niemców, którzy im się później niewola za to wywdzięczyli. Książęta węgierscy zasiadali na tronie polskim, a z pośród książąt polskich wybierali Węgrzy pomazańców bożych dla siebie. Obadwa te narody straciły swój byt polityczny i uleż musiały żelaznej niewoli, która skępowała ich ducha i stała się źródłem tysiąca nieszczęść.



Wnętrze kaplicy w Orsowie.

Po stracie bytu politycznego Węgrzy równie jak Polacy starali się ukryć klejnoty królewskie przed napastniczym nieprzyjacielem, przywiązując do nich wielką wagę i nie chcąc oddać na poniewierkę tego, co u narodu w świętym zostawało poszanowaniu. Podobnie jak o koronie polskiej i jej losach rozmaite po kraju krążyły wieści,*) tak samo nie wiedziano przez długi czas,

co się stało z koroną św. Stefana, którą nosili królowie węgierscy.

Podczas powstania węgierskiego r. 1848 była ona w posiadaniu Kossuta. At. li gdy powstanie węgierskie przy pomocy cara Mikołaja przytłumione zostało i rząd rewolucyjny cofać się musiał do Debreczyna a ztamtąd uchodzić za granicę, Ludwik Kossut obawiając się, ażeby insygnia królewskie nie wpadły w ręce Austriaków, uwiózł je z sobą i zakopał w żelaznej skrzyni pod Orsową przy ujściu Czerny do Dunaju. Długi czas mnie-

*) Bliższe szczegóły o koronie polskiej i jej losach podamy w jednym z następnych numerów. (Przyp. Red.)

mano, że insygnia te zupełnie przepadły a pomiędzy ludem węgierskim obchodzący różne wieści, wróżące smutne następstwa powstania i krwawy ucisk, który miał dotknąć kraj nieszczęśliwy.

Tymczasem niejaki Tytus Karger, przypuszczając, że Kossut nie byłby wywoził królewskich klejnotów do Turcyi z obawy, ażeby tam czasem przez rząd turecki zabrane nie były, lub w inny sposób nie zaginęły, postanowił ich szukać w okolicy Orsowy, kędy Kossut przechodził granicę. Po długich poszukiwaniach udało mu się wreszcie znaleźć takowe, zakopane w ziemi wilgotnej przy ujściu Czerny do Dunaju.

Stało się to 1853 roku, 8 września, w dzień Narodzenia Najświętszej Panny, Orędowniczki korony węgierskiej. Lud węgierski, szczerze przywiązany tak do ojczyzny jak i do religii dziadów swoich, przypisywał odszukanie korony węgierskiej pośrednictwu Matki Boskiej, a gdy królewskie insygnia sprowadzono Dunajem do Budy i przez trzy dni wystawiono na widok publiczny, zbiegały się tysiące ludu, by je oglądać, a po całym kraju odprawiano dziękczynne nabożeństwa. I znowu krążyły po ziemi węgierskiej wieści, że bliskim jest czas, kiedy pęta niewoli austriackiej osłabną.

Insygnia te zostały do Wiednia przeniesione i tamże na zamku przechowane. W roku zaś 1857 zbudowano około Orsowy na tém samém miejscu, gdzie odkryto zakopaną skrzynię, kaplicę w stylu bizantyńskim, w kształcie ośmioboku, jak ją przedstawia rycina zamieszczona na stronie 12. Wewnątrz téż kaplicy, na samym środku, znajduje się ośmiobok marmurowy, jak nam to przedstawia druga dołączona rycina, wydrążony, a na spodniej płycie znajdują się wiernie naśladowane klejnoty królewskie: korona, berło, jabłko i miecz, pod

którymi złotymi literami jest wryty napis podający datę odszukania insygniów.

Korona węgierska jest dla Węgrów świętą religią narodową. Pochodzi ona z bardzo dawnych czasów i pierwszy miał ją nosić św. Stefan, który ochrzcił pogańskich Węgrów na wiarę katolicką, ztąd też zowie się koroną św. Stefana. Na obręczy, właściwym diademem, jest rozdzielonych pół 16, a w każdym polu wizerunek świętego na emalii, drogiemi kamieniami ozdobiony. Na środku diademu jest osadzony dyament dość znacznej wielkości, a nad nim na jednym z szerszych promieni przymocowanych do obręczy znajduje się wizerunek Zbawiciela, jako króla nad królami.

Oprócz korony przechowane były w żelaznej skrzyni: jabłko królewskie prawdopodobnie z XIV wieku, berło buzgany — sięgające swoim wyrobem wieku XII i wreszcie stary płaszcz królewski — pallium regale, którym królowie przy koronacji okrywali swoje ramiona.

Płaszcz ten jest nadzwyczaj misternej roboty i sięga swą starożytnością bardzo dalekich czasów. W skrzyni żelaznej ucierpiał on znacznie skutkiem wilgoci. Według podania kronikarzy uszyła go własnoręcznie królowa Gizela i darowała go r. 1031 jako ornat do kościoła w Stuhlweissenbergu, ztamtąd wzięto go dość rychło do koronacji królów węgierskich. Na środku jaśnieje obraz Zbawiciela święta złotem i srebrnymi niciami wyszyty, a na około obrazu tego w półkolu są wyszyte postacie proroków, poniżej tychże w drugiem półkolu postacie Apostołów z nazwiskami.

Wszystkie te insygnia użyte były przy koronacji cesarza austriackiego na króla węgierskiego 1867 roku.

K.

Kartka z podróży po Georgii

przez J. Grz...

(Dokończenie.)

Pani Sr... była prawdziwym typem Georgianki; brunetka z czarném okiem, z owalną twarzą. Dzieci zaś wszystkie były również, jak ojciec, blondynami, a po matce odziedziczyły czarny kolor oczu. Ubrana była w kostiumie narodowym, którego rząd moskiewski, acz z ukosa nań spojiera, jeszcze nie prześladuje; na głowie miała rodzaj korony (taw-sakra-wi), do której przypięty muslinowy wual (czadra), spadał na ramiona. Korona ta zwykle jest robiona z kanwy, wyszywanej w rozmaite desenie, a czadrą, wedle wschodniego zwyczaju, zakrywa się twarz, skoro obcy mężczyzna jest obecnym. Na sobie miała akşamitny kontusik (katyba), podbity lekkim futerkiem.

Z gościnnością właściwą Polakom podejmowali nas oboje państwo Sr....; pani Nina (takie jęz bowiem było imię) starała się wystąpić z kolacją polską, aby mi choć w części przypomnieć kraj rodzinny, ale wręcz oświadczyłem, że będąc w Georgii, chętnie się zastępuję do jęz zwyczajów i będę jadł tutejsze potrawy. Podano więc nam baraninę z selerami, a zamiast chleba ciastko upieczone z prosa, które się tutaj nazywa gomi; baranina była pokrajana na małe kawałeczki, osadzone na trzcinie, jak to u nas zwykle robią rożenki, tak przyrządzona i upieczona nad ogniem nazywa się szyszlkami. Przyznam się, nie bardzo gustowałem w tych szyszlkach, ale Sarkiz zjadał z apetytem, bo i niedziw, wszak to także ormiańska narodowa potrawa. Każden z takich rożenków popijaliśmy obficie kachetyńskim winem. Nie pomału zdziwiony byłem, kiedy zobaczyłem, że pani Nina sama wypila już parę butelek, a zabierała się do trzeciej. Pan Sr. spostrzegłszy moje zdziwienie, wytłómaczył, że tu kobiety więcej pijają od mężczyzn; wino zastępuje wodę, tém bardziej przy baraninie, która wzbudza pragnienie. Chociaż źródłana

woda jest tu może tak wyborną, jak trudno znaleźć gdzieindziej, jednak niepodobno się oprzeć ponętom Bachusa, tak szczerze obdarzającego ten kraj winną latoroślą. Widywałem w każdej, bodaj najuboższej chacie włościańskiej, zakopaną w ogrodzie lub sieniach ogromną glinianą kadź, miewającą w średnicy 3 łokcie, a głębokości 4, napelnioną winem. Jak mogą wypalić takie olbrzymie kadzie, i z kąd się bierze tyle winogrodu — to niejaki czas pozostaje zagadką dla zdumiałego wędrowca.

Oprócz Sarkiza który zaledwo pięte przez dziesiąte rozumiał po polsku, mówiliśmy wszyscy językiem z nad Wisły; pani Nina pokochawszy go jak swój własny, chętnie nim mówiła i starała się, aby dzieci, znając język matki, nie zapomniały téż i języka ojca. I tak braliśmy wszyscy udział w rozmowie, która się stawała coraz bardziej ożywioną. Opowiadałem gospodarzom szczegóły z wypadków ostatniego powstania, skutki jego, opłakany stan teraźniejszy i mówiąc o wygnańcach, rozpytywałem się o losie tych, których zaślano na Kaukaz. Co się tyczy wygnańców, mówił p. Sr., z 1863 r., tych prawie tu nie widziałem, ale z przeszłych lat wielu pan możesz napotkać. Chociaż niektórzy z nich tak się już zrosli z życiem Kaukazu, jego naturą, zwyczajami, że zapomniawszy o własnym kraju, stali się obywatelami obcego, poženili się, są teraz ludźmi familijnymi, a ich dzieci ledwo rozumieją mowę swych ojców; jednak znaczna jest ilość takich, co ciągle wdychają do ojczyzny i pragną przynajmniej choć umrzeć na rodzinnej ziemi. Inni zaś, a do nich się i ja liczę, pomimo tego, że przykuci do tych skał, nie mogą zamarzyć o powrocie, a zwiąawszy się rodzinnymi węzłami, znaleźli niejako drugą ojczyznę, wszakże nie zapominają o pierwszej, nie zapominają o tém, że Polak wszędzie winien być Po-

lakiem. Więc spełniając godnie swą misję, staramy się dowieść ludowi, który nas przyjął w swe objęcia, a wśród którego rzucili nas Moskale, jako mniemanych zbrodniarzy. W imię to jakiej sprawy jesteśmy męczennikami. I dziś, jak to pan zapewne się przekonałeś, wyraz „Polak” staje się tu godłem wolności i poświęcenia. Ormianin albo Georgianin zwykle w obec Moskala ponury, skryty, nie szczery, niech się spotka z Polakiem, serdecznie, po bratersku dłoń mu podaje i gotów wylać się przed nim z najświętszych tajemnic swego serca. To też za tę przychylność i szczerotę odwiedzamy się im pracą prawdziwych apostołów wolności; — na pierwszym względzie stawiam tu uzaczenie kobiety. Ja, co przeszedłem cały ten kraj wzdłuż i w poprzek, co może nie jeden kąt skropiłem strumieniem krwi swojej, widziałem go przed laty kilkunastu i widzę go teraz. Trudny do poznania. Dawniej kobieta średniej albo wyższej klasy (nie mówiąc o włóścianach, bo ci mało się odmienili) na widok obcego mężczyzny, a do tego niekrajowca, zakrywając twarz, z krzykiem uciekała do domu i tam się kryła, oglądając się, czy mąż albo brat nie skarci jej za to, że przypadkiem spostrzegła cudzoziemca; a dziś pan zobaczysz kobietę z odsłoniętym wualem, ukazującą się na ulicy. Dziś już bardzo rzadko trafiają się wypadki, pochodzące z tej barbarzyńskiej zazdrości, co to nakazywała często niewinnym kobietom odrzucać nos, uszy i t. p. Kobieta zaczyna nabierać praw, należnych jej płci, na równi z mężczyzną, a ztąd i wpływ jej na podrastające pokolenie staje się dobroczynnym. Dzieci widząc uszanowaną godność i swobodę matki, same się przyzwyczajają szanować swobodę i coraz bardziej zapoznają zżytych niewolę. Jeśli tylko zasługi dziejowe mają swoje znaczenie, to gdzie a gdzie, a zdaje mi się w Polsce i Georgii kobieta powinna być uszanowana, w swych swobodach, pomnąc na zasługi, jakie przyniosła. Bo wszak i Georgianie mogą się poszczycić całym szeregiem niewiast, które odwagą, poświęceniem się, miłością, niejednokrotnie zbawiały ojczyznę od nieprzyjaciół. Bywały tu i Wandy, Dąbrowki i Jadwigi; a w nowszych czasach i Platerówny i Pustowójtówny. Szereg ten świetnie rozpoczyna św. Nina, — patronka mojej Ninki, dodał po małym przestanku, zwracając się do żony i całując ją w czoło.

— A! św. Nina, zawolałem, toć to podobno krąży tu piękne legendy o niej? Sądzę, nie zechcesz pan pozabawić mnie tej przyjemności, abym, będąc w Mechecie, nie posłyszał jednej z tych legend.

— Chętnie. Zachowałem w pamięci jedną z nich; streszczę więc ją panu.

Św. Nina, krewna św. Jerzego, patrona Georgii, od lat dzieciennych lubiła samotność i rozmyślanie. Rodzice starali się wszelkimi środkami zabawić ją i rozrywać, otaczając rówieśniczkami, ale młode dziewczę stroniło od wszystkich, zabierało się w cichy kącik, gdzie po całych dniach widziano ją albo klęczącą przed krucyfiksem, albo siedzącą na ziemi, podpartą na łokciu i ze łzą w oku wpatrującą się w Matkę Bolesną. Z wiekiem młode dziewczę wyrosło na piękną jak anioł dziewczę, a zawsze zamyśloną i zadumaną. Zjawiało się mnóstwo spółubiegających się o jej rękę, lecz ona na wszystko zaklinała rodziców, by ją zostawili w panieńskim stanie. O, bo ona ukochała całą ludzkość, że w sercu niepostało miejsca dla uczuć osobistych! Marząc wciąż o tém, jakby zająć gdzieś w dalekie kraje, pomiędzy dzikie ludy i wpajać w ich serca te święte zasady miłości bliźniego, których się nauczyła czytać na krzyżu Zbawiciela, coraz częściej zaczęła miewać cudne widzenia. Jednej nocy pokazała jej się Matka Boska, wskazała na Georgię, jako na kraj, kędy się miała udać, i dała na drogę w ręce krzyż spleciony z łóz winogrodowych. Św. Nina w niebiańskim zachwyceniu przycisnęła krzyż do piersi, a obciąłwszy swe piękne, długie włosy, zawiązała

go niemi. Nazajutrz opuściwszy dom rodzicielski w towarzystwie trzech rówieśniczek, wyszła z Jerozolimy, udając się przez Armenię do Georgii. W Armenii król Tyrydat kazał zabić jej towarzyszek, a ona cudownie ocalona, po wielu trudach doszła sama do Kury, gdzie znalazłszy łódkę i płynąc na nią w górę, dostała się do tego miejsca, gdzie Aragua wpada do Kury i gdzie była budowana ówczesna stolica Mecheta. Był to dzień Przemienienia Pańskiego, a w Georgii obchodzono święto bożka Armaza. Niezliczone tłumy okrywały całą dolinę i jak fale morskie to płynęły w jedną stronę, gdzie stała świątynia, to znów całą masą odpływały w drugą, gdzie się miała ukazać królewska para. Św. Nina stojąc z innymi na moście ompejusa, poraz pierwszy zobaczyła, jak król Miriam z żoną przejechał rydwanem, otoczony całym orszakiem najpierwszych mtawarów, udając się na miejsce ofiar. Podążyła więc za nimi i w milczeniu zatrzymała się zdala przed świątynią, w której znadowały się trzy posągi Armaza. Dano nareszcie hasło: otworzyły się podwoje ołtarza i wyszedł arcypłan, wiodąc za rękę młodzieńca, skazanego na ofiarę. Wszystek lud przejęty czią dla swoich bogów padł z pokorą na kolana; jedna tylko św. Nina stojąc, podniosła ręce do góry i modliła się do Boga chrześcian. I w tej chwili kiedy miecz ofiarny miał spaść na głowę młodzieńca, zerwała się straszliwa burza z grzmotem i błyskawicą; piorun spadł na świątynię i z mienił ją i wszystkich kapłanów w okamgnieniu w popiół. Król z całym dworem i lud przestraszony tą karą niebios, porzucili miejsce ofiar i poczęli uciekać, lecz na moście spotkali stojącą św. Ninę z wyciągniętymi ramionami i otoczoną niezwykłym światłem, a od głowy jej były tak rażące promienie, że lud padł przed nią na kolana, mniemając widzieć przed sobą samego boga Armaza. Od tej chwili, powiadają, zaczęło się nawrócenie Georgii. Krzyż zaś z łóz winogrodowych związany jej włosami ma się znajdować w katedralnym (syoniskim) kościele w Tyflisie. Sama św. Nina pochowana w stołecznym mieście Kachety-Signach.

Do późnej nocy siedzieliśmy, gawędząc o bieżących sprawach; nareszcie pożegnałem państwo Sr., dawszy im słowo, że zanim wyjadę, wstąpię wraz z nimi do tutejszej katedry.

Zmus ony jak najprędzej puścić się w dalszą drogę, wstałem rano i zleciwszy kelnerowi, aby wszystko gotowem było do rychłego wyjazdu, wyszedłem na ganek, gdzie już państwo Sr. czekali na mnie. Cudny majowy poranek zatarł wszelkie ślady wczorajszej burzy. Słońce ledwo się okazywało z za gór, złoćąc purpurą liczne ich szczyty i wierzchołki; jedna strona na dalekim horyzoncie siniejącego Elborusu mieniała się w kolorach różnobarwniej tęczy, a druga okryta mgłą, ciągnęła się pasmem ciemnym, szarawym, w nieskończoność dal. Śpiew ptasząt rozległ się w pobliskich gajach i krzakach, porzrucanych tu i owdzie; w miarę tego, jak się zbliżaliśmy do którego krzaku, świągotanie ustawało, ptaszęta trzepocąc skrzydełkami, wlatywały do góry, a wtenczas z potrąconych gałązek i liści tysiące kropel rozpryskując się na wsze strony w milionowe atomy, spadały różnokształtnymi kaskadami. Aromat z rozkwitłych krzewów jasmínu i bzu napełniał powietrze wonią, wlewającą w nas nowe siły. Czułem się orzeźwionym i wesółym. Lecz jakiegoż wręcz przeciwnego doznałem wrażenia, kiedy spuściwszy się ze wzgórza, na którym stoi pałacyk, weszliśmy na ów rzymski most, z kąd widok na całą Mecheta. Nie była to Mecheta! nawet śladów jej niema; na obu wzgórzach tylko można dostrzedz szczątki murów i to całkiem rozsypanych w gruzy! Jedna z dolin, na której zapewne był dworzec królewski, teraz zarośnięta zielskiem i chwastem, na drugiej — kilkanaście lepiank, a za niemi trochę wyżej wznosi się stara pochylona ku ziemi katedra patriarchy Georgii, nosząca na sobie brzemień 14 wieków! Stoi ona samotna

jakby jeszcze czekała na ostatnią, śmiertelną, rozprawę z wrogiem. Żal mię ścisnął za serce, że z tyłu pamiętek narodu ona jedna tylko ocalała.

Przeszedłszy most i ominąwszy tych kilka porozrzucanych tu i owdzie chatek, wzniesiliśmy się na pagórek i zbliżyliśmy się do murów, które otaczały ze wszystkich stron kościół. Mury te acz może nie sięgały dalekiej starożytności, znacznie były już uszkodzone i porysowane; snać jednak były rzeźbione dość niezgrabnie na nich figury świętych i dość liczne w bliskiej od siebie odległości osmiokątne krzyże, otoczone niby girlandą z drobnutkich kwiatów. Po czterech rogach sterczały baszty, widocznie w nowszych już czasach postawione. Sama świątynia pierwotnie była przez Miriamą zbudowana z drzewa; dopiero wnuk jego Tyrydat postawił na jej miejscu kamienną, a gdy ta się chyliła ku upadkowi król Wachtang Gurg-aslan w V w. sporządził wspaniałą katedrę. Trzęsienie ziemi w r. 1313 znacznie ją nadwężyło i chociaż zrestaurowano ją, ale w sto lat później Tamerlan do szczytu zburzył tak, że się ostały tylko fundamenta i jedna ze ścian. W takim stanie, w jakim zostaje teraz, zbudował ją król Aleksander w XV w. Styl jej można nazwać pośrednim między romańskim i bizantyńskim: ma kształt dużego czworoboku z wystającymi w górnej części małymi skrzydłami, tworzącymi razem z korpusem krzyż rzymski; na wierzchu unosi się kopuła bizantyńska. W całości przypomina nieco fizyognomię mołdawskich cerkiewek, w większym tylko rozmiarze. Wszedłszy na podwórze, spotkaliliśmy się ze staruszką mnichem, którego zaraz na

wstępie prosiłem o wskazanie grobów królewskich. Staruszek uśmiechnął się ironicznie a wzięwszy mię za rękę, poprowadził do świątyni. Przeszedłszy kilkanaście kroków zatrzymał się i wskazał palcem na ziemię; przez podłużne, wąskie, zakratowane okna przedarł się promyk światła do ciemnej i ponurą kaplicy; spojrzalem na ziemię — na płycie kamienną wyryty był napis:

„Z pokorą błagam cię o modły, przechodniu — jam teraz już nicość,

Lecz niegdyś byłam Anna, córka Aleksandra,
synowa króla Georgii —

Tejmuraza i kocnąjąca żona króla Kachów-Herakliusza.

Lecz dla mnie zgasła tu cała sława

6 grudnia roku 1749.“

Była to matka ostatniego króla Georgii Jerzego XII.

— Chodźmy dalej, rzekłem do mnicha.

— Po co? odparł niechętnie: nic tu więcej nie znajdziesz. Bagratydowie wszyscy leżą w Helacie w Kachety.

— Ależ groby tylu Sassanidów?

— Ot tu, patrz pan, powiadają, że były niegdyś złożone popioły Miriamy i Wilko-lwa.

— A reszta?

— Reszta?... Staruszek pokiwał głową i zamyślił się... Alboż tu nie było Tatarów, Lezginów i Moskalów...

...I znowu nieznośna kibitka, monotony, urywany dźwięk dzwonka pocztarskiego i nawoływanie chrypliwego woźnicy: chabardah! chabardah!...

ROZMAITOŚCI.

(Poczucie obowiązku). Na żelaznej drodze pomiędzy New-Yorkiem a Newark, znajduje się most, środkiem otwierany dla przepuszczania statków. Dozorca mostowy Drecker, miał obowiązek za nadejściem pociągu zamykać lukę. Właśnie w chwili, gdy ujrzał z daleka nadchodzący pociąg, wpada mu synek 6letni w rękę; było jeszcze dość czasu uratować go, lecz gdyby dozorca rzucił się na pomoc dziecku, pociąg mógłby nadejść i wpaść w fale rzeki. Biedny ojciec poświęcił syna dla ocalenia jadących, zanim bowiem pociąg most przebiegł, chłopiec znikł pod wodą. Pokazuje się więc, że i przemysł ma swoich Brutusów, poświęcających dzieci dobrotę ogólnemu.

Kalendarz

historyczny polski.

- Dnia 8 stycznia: r. 1634 Władysław IV. przybywa pod Smoleńsk.
Dnia 9 stycznia: r. 1792. Pokój Turcyi z Moskwą, przeciw Polsce wymierzona wojna. — r. 1795 Stanisław Poniatowski opuszcza Warszawę. — r. 1796 Prusacy zajmują Warszawę. — r. 1797 Dąbrowski formuje legiony we Włoszech.
Dnia 10 stycznia: r. 1529 Sejm w Piotrkowie przepisuje ustawy dla sądów pruskich.
Dnia 11 stycznia: r. 1386 Jagiello obrany przez stany królem polskim. — r. 1666 Zniesienie zbuntowanych Kozaków pod Ochmatowem.
Dnia 12 stycznia: r. 1280 Śmierć Zawiszy, biskupa krakowskiego. — r. 1441 Hold księcia Oświęcimskiego i Zatorskiego. — r. 1815 Anglia przemawia za Polską do dworów północnych. — r. 1831 Moskale wkraczą w granice Kongresówki.
Dnia 13 stycznia: r. 1773 Manifest dworów zwiastujący rozbiór Polski. — r. 1793 Prusacy wkraczą do Polski. — r. 1851 Zniesienie granicy między Kongresówką a Litwą i Rusią.
Dnia 14 stycznia: r. 1329 Sejm prawodawczy w Chęcinach. — r. 1575 Sejm w Jędrzejowie po ucieczce Henryka Walezego. — r. 1801 Utworzenie rządu tymczasowego w Warszawie.

Zadanie konikowe.

	1.	2.	3.	4.	5.	6.	7.	8.
A.	K	W	a	p	i			
B.		G	a	e			r	w
C.	a	i						
D.	a						o	a
E.	c	z						
F.		g				i	c	f
G.	d	cz	b		b	cz		
H.	o		o	u	z		i	a

Szarada.

Pierwsze broni, drugie głoska, a trzecie jest karta, Całość zaś u myśliwych bardzo wiele warta.

(Rozwiązanie szarady w nr. 1: **Padalica**.)

Korespondencya Redakcyi.

Panu Józef Thom. w Młodasku: Wzajemnych życzeń. Panu Rom. Ziem. w Pleszewie: Jeżeli rzecz swoją starożytnością i historią zasługuje na publiczną uwagę, — prosimy. Rysunek może być prosty ale dokładny. Opis mozesz Pan nadesłać każdej chwili; kiedy będzie zamieszczony, obecnie na pewno powiedziec nie możemy. — Panu N. S. w Poznaniu: Uwagi słuszne, pocieszamy się nadzieją, że Pan nie jedyny jesteś tego zdania.